

ZIEMIA

Warszawa—Lwów.



Antoni Sujkowski.

Rocznik Statystyczny Królestwa Polskiego. Rok 1913.

2)
(dok.)

Na str. 3 przy porównaniach znajduję zestawienie „Szwecya z Norwegią (5,522,403)“; jest to liczba, dotycząca samej Szwecyi, a takie przeoczenie źle świadczy o staranności roboty.

Pomimo całej wadliwości i niepewności danych „Rocznik“ przytacza bez zastrzeżeń podział na ludność miejską i wiejską i nawet wzrost ludności miejskiej. Jeżeli pominiemy samą wątpliwość liczb, to należy podkreślić rzucający się w oczy brak, a mianowicie dla naszych stosunków koniecznie należy uwzględnić w miastach (miasteczkach i osadach) żywiol żydowski, tablica zaś na str. 36—7, sama w sobie bardzo cenna, nie obejmuje skupień ludzkich poniżej 10 tys.

Na str. 4, gdy mowa o gęstości, nietylko że czytelnik musi sobie zestawiać wiorsty z kilometrami, ale wcale nie znajdzie gęstości zaludnienia Litwy i Rusi. Muszę tu wytknąć dwa braki, wyraźnie świadczące o dużym niewyrobieniu metodycznym, ujawnionem przez redakcyę „Rocznika“. „Rocznik“ zestawia gęstość zaludnienia Królestwa z gęstością Rosyi Europejskiej. Jak

to, więc można przytaczać przeciętną gęstość obszaru, 5 milionów km. kw. mierzącą, gdzie milion km. tundur nie posiada nawet pół człowieka na km. kw., a Podole i Ukraina są zaludnione gęściej od Francyi? Przy zestawieniach brak orientacyi geograficznej, a więc wylicza się szereg krajów o mniejszej gęstości od Królestwa zamiast geograficznie wskazać, że jest to obszar na południe od Karpat łącznie z całym półwyspem Bałkańskim; brak nieco szczegółowszego rozbitcia zaboru austriackiego na części fizyograficzne, co byłoby jedynie rzeczą naukową i pouczającą, a mianowicie należało wykazać gęstość zaludnienia w Beskidzie Zachodnim, Nizkim i Wysokim, na niżu Małopolskim i wyżynie Podolskiej. W danym wypadku brak „Rocznikowi“ pierwiastkowego poczucia geograficznego, bo żadnych zestawień na podstawie fizyograficznej nie próbowano robić, zadowolając się podziałem administracyjnym.

Osobliwszym ustępem jest § VI na str. 5, a mianowicie podział ludności podług płci. Redakcyja „Rocznika“, wogóle zwolenniczka bez zastrzeżeń słowa drukowanego, tu zdobywa się na coś w rodzaju zastrzeżeń. Jednak w końcu jak gdyby uznawała, że wierzy w przewagę liczebną mężczyzn nad kobietami i spokojnie drukuje takie horrendum jak 78,5 kobiet na 100 mężczyzn w miastach gub. łomżyńskiej.

1) Przy wyliczeniu źródeł na str. XX znajduję „Tablice geogr.-statystyczne“ Hübnera-Juraszka; dziwna rzecz, że niema tam daleko pełniejszego „Almanach de Gotha“, a nadewszystko „The statesman's year-book“ wydawanego przez I. Scott-Keltie.

Wyniki spisu jednodniowego znalazły maleńką przewagę ludności męskiej, więc bez analizowania tego niemożliwego u nas zjawiska puszczono w świat tę wiadomość, która z pieczętą urzędowości pokutowała nawet w roczniku Scott-Keltie. Uważam, że było to najprostszym obowiązkiem redakcji „Rocznika“ tę rzecz zgłębić, tem bardziej, że daje się ona bardzo prosto rozwikłać: liczba mężczyzn obejmuje i wojsko, należało zatem odjąć ilość wojska, stojącego w kraju, i dodać ilość mieszkańców Królestwa, będących w wojsku w r. 1897. W ten sposób otrzymalibyśmy rzeczywistą liczbę mężczyzn dla Królestwa Polskiego, liczbę o 170 tys. (mniej więcej) mniejszą od podawanej przez spis jednodniowy, a wówczas otrzymamy na 100 mężczyzn 101,3 kobiet. Nieuwzględnienie liczby wojska prowadzi do takich dziwołagów jak nadmiar mężczyzn, zresztą ma ono i inne następstwa, których możnaby uniknąć, gdyby materiał (taki, jaki istnieje) opracowywać z większą znajomością rzeczy.

Na str. 7. Ilość byłych unitów, którzy przeszli na katolicyzm, jest obliczone bardzo skąpo, bo tylko na 120 tys. Można było łatwo otrzymać dane pewniejsze z ilości konwersów w diecezji lubelskiej.

Przy obliczeniu maryawitów (str. 7) znajduje się uwaga, że staroobrzędowców Rosya posiada 2,5% ludności prawosławnej. Ta uwaga może tylko wypływać z założenia, że maryawici odpowiadają staroobrzędowcom: maryawici, stanowiący nową sektę, nielubiani przez ludność a popierani przez rząd, mają być odpowiednikami staroobrzędowców, którzy trzymają się starych zwyczajów, obojętnie lub życzliwie są traktowani przez otoczenie, a prześladowani przez rząd. Zapewne, ta uwaga zajmuje jeden wiersz, ale jaskrawo ilustruje zaniedbywanie najprostszych wskazań metody naukowej, która pozwala porównywać tylko rzeczy podobne.

Na tej samej stronie znajdujemy przypuszczalną liczbę Rosyan w Królestwie Polskim — 836,7 tys. Skąd tak wiele? Na str. 40 znajdujemy dla 1 stycznia 1909 roku prawosławnych 477 tys. — przypuściwszy, że po dwóch latach może ta liczba wzrosła do 490 tys., mamy na wojsko 346 tys., co jak wiemy jest o 100 tys. za wiele. W danym wypadku mamy do czynienia już nie z brakiem metody, do czego w całym „Roczniku“ musimy się przyzwyczaić, ale z najprostszą niedokładnością roboty.

Kiedy „Rocznik“ przechodzi do obliczenia Polaków, to wpada w nastrój dziwnie pesymistyczny. Liczbę dla Litwy i Rusi 885 tys., podaną przez spis jednodniowy z r. 1897, przy-

tacza bez zastrzeżeń, a któż jak nie redakcja rocznika statystycznego powinien wiedzieć, że przed 5 laty władza przeprowadzała z powodu zamierzonego samorządu oddzielne badania statystyczne, gdyż ministerium nie wierzyło w dane z 1897 r. i przeprowadziło badania, których wyniki rażąco odskakiwały od owych danych, przyjętych obecnie przez „Rocznik“!

Po tej nadmiernej ostrożności mamy wybuch optymizmu, gdy chodzi o zabór autryacki, gdyż naliczono tam prawie 5 mil. Polaków. Tu wszystkich Żydów, którym spodobało się podać język polski za domowy, „Rocznik“ uznał za Polaków. Nie podobna posądzać współpracowników „Rocznika“ o taką jaskrawą niewiedomość, więc się narzuca pytanie, po co ta maskarada?

Tuż zaraz „Rocznik“ z powrotem przechodzi do ostrożności i w Poznańskim uznaje tylko 60,9% Polaków, obojętnie dodając „nie licząc Polaków dwujęzycznych“. Że wszystkie te urzędowe dane są obliczane skąpo dla Polaków i że sami Niemcy tak na te liczby się zapatrują, dość przytoczyć „Landeskunde der Pr. Posen“ H. Schützego. Jest to książeczka popularna, wyraźnie hakatystyczna, jednak bardzo ściśle i metodycznie napisana; otóż ludność Poznańskiego oznacza ona (67 str. w odnośniku): „über $\frac{1}{3}$ deutsch und knapp $\frac{2}{3}$ polnisch“, gdyby uznawała tylko 60,9% Polaków, toby zbliżyła to do $\frac{3}{5}$ ułamku. Wysoce może zadziwić owo pomijanie dwujęzycznych, gdyż trzeba odrobinę tylko znać stosunki w zaborze pruskim, aby wiedzieć, że ta pozycja w całości oznacza Polaków — ludzi, którzy są zależni od rządu albo chwilowo steroryzowani i pozwalają w siebie wmawiać obojętność względem języka. Jeżeli gdziekolwiek istnieje rzeczywistość taka obojętność, to urzędy statystyczne takich dwujęzycznych zaliczają do Niemców! Tu znowu mamy pomijanie reg. gdańskiej.

Litwini w Suwalskiem są obliczeni dość sówicie: znawcy tych stosunków nie oceniają tej ludności na 426,7 tys.; zresztą sam sposób proporcjonalnego obliczania w stosunku do całego Królestwa metodycznie jest nic nie wart, bo główny wzrost ludności wypadł poza gubernię suwalską. Bliższy prawdy byłby stosunek 54% w stosunku do ludności gubernii — ale w ten sposób możnaby przyjąć Litwinów tylko 367 tysięcy.

Przy obliczaniu ludności rosyjskiej pozorna drobiazgowość nie wyczerpuje treści, a liczby odsetkowe na urzędach nic nie mówią o kategoriach urzędów, jak również „12,2% wśród nauczycieli“ przy rozbiciu na kategorie dałoby wyniki bardziej charakterystyczne co do

udziału w szkolnictwie ludowym, średnim i wyższym.

Na str. 15 spotykam dziwnie niedokładne wyrażenie: „do tej liczby przybyło 167⁰/₀... 197⁰/₀... 262⁰/₀“; jeżeli przybyło, to wszędzie o 100 mniej. Od str. 19 „Rocznik“ umieszcza ludność gmin i miast z podziałem na grupy wyznaniowe, przyczem powierzchnię podano w morgach. Te tablice byłyby niezmiernie cenną rzeczą, gdyby jednak redakcja porzuciła swoją zasadę „bez zastrzeżeń“ i przestrzegła czytelnika, że tu może spotkać rzeczy wielce wątpliwe. Doskonale to rozumiem, że redakcja nie ma możliwości sprawdzania ludności w paru tysiącach gmin, jednakże wydrukowanie bez zastrzeżeń nasuwa posądzenie, że właściwa wartość danych liczbowych nie jest oceniona należycie. Naprzykład na str. 24 miasto Sosnowiec jakoby posiadało 7.623 protestantów — proszę poszukać ich na miejscu, ale uprzedzam, że się ich okaże 8 lub 9 razy mniej. Drobiazgiem wobec tego jest 603 w Będzinie, gdzie nawet połowy tej liczby niema, lub w Dąbrowie Górniczej, gdzie ma ich być aż 1270! Albo na str. 46 gmina Górnicza (tu źle nazwana Górna), to jest Dąbrowa, ma mieć 536 osób ludności prawosławnej, Olkusko-Siewierska zaś 752 — liczby nieprawdopodobne.

Że ścisłość określeń, porównywanie rzeczy tylko jednorodnych i tym podobne wymagania metody nie obowiązują „Rocznika“, na to przytaczam jeszcze jeden przykład, a mianowicie dotyczący szkolnictwa. Na str. 320 wyrażnie znajdują: „O szkołach z językiem wykładowym polskim mamy tylko dane ogólnikowe. W roku 1888 było szkół prywatnych ogółem 268 i 16,285 uczniów“ — czy to ma być lekceważenie metody czy kpiny z czytelnika? Daje następuje doszczętne pomieszanie szkół powstałych w roku 1905 z dawniej istniejącymi prywatnymi.

*

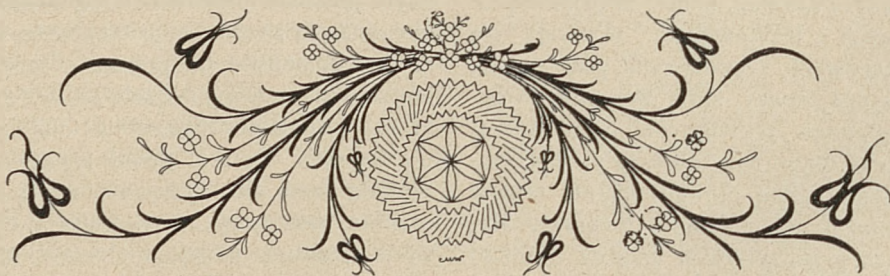
Rozpatrując tylko działy, które mogą wzbudzić większe zainteresowanie czytelników „Zie-

mi“, musiałem pominąć cały potężny materiał bardzo wielostronnie zebrany i umieszczony w „Roczniku“; niech kto inny się temi danymi zajmie, a jeżeli nawet naogół mniej tam znajdzie niedokładności, to jednak—tę samą wiarę w słowo drukowane.

Wiadomo, że w życiu umysłowym i społecznym jeszcze długo po wygaśnięciu przyczyny dają się zauważyć skutki. Coś podobnego można zauważyć i w stosunku do omawianego „Rocznika“, a najbardziej działu naczelnego, omawiającego stosunki ludnościowe. Tu „Rocznik“ robi wrażenie, że szkoła prof. Simonienki święci tryumfy w całej pełni.

Język w „Roczniku“ naogół niewiele pozostawia do życzenia. W następnych latach możnaby jednak wprowadzić pewne drobne zmiany, jak naprz. dawne miasteczka, pozbawione tego charakteru od lat 48, zwykle nazywają się osadami, wyraz zaś „osada“ ma już dwa inne znaczenia, przeto stanowczo należy go zarzucić i wrócić do „osady“. Na str. 141 wyrażenie „lasy będące pod nadzorem ochrony leśnej“ nadaje się do usunięcia: może być „kontrola“, „dozór“, „zarząd“, „opieka“, byle nie „nadzór“. Śród nazw ziem poszczególnych znajdują zbiorową nazwę „Ruś“ dla dawnych Wołynia, Podola, Ukrainy i Braclawszczyzny — nazwa to bardzo udatna i jedynie stosowna; nawet raz znalazł się i przymiotnik „ruski“ odpowiednio utworzony od „Rusi“, co było rzeczą zwyczajną w starej polszczyźnie i obecnie w zaborze austriackim. Należałoby też konsekwentnie używać i wyrazu „Rusin“, a raz na zawsze usunąć „Małorusa“, „Małorusina“ i przymiotnik „małoruski“, gdyż, jak to przed 30 laty dowodził St. Tarnowski w recenzji „Damiana Capenki“, język polski wyrazów „Małorus“ ani „Małorusin“ wcale nie posiada.

Jeżeli „Rocznik Statystyczny Królestwa Polskiego“ (Rok 1913) w opracowaniu Biura Pracy Społecznej posiada pewne zalety, to jednak należy to stwierdzić, że przedstawienie stosunków ludności, czyli działu najbardziej interesującego czyni pracę tę wręcz szkodliwą.



Biblioteka Publiczna w Nowym Yorku. ³⁾ (dok.)

Oczywiście, że oparta na takich założeniach biblioteka sięga swoim wpływem głęboko i szeroko także i w dojrzałym społeczeństwie. Tę szerszą działalność rozwija biblioteka za pośrednictwem swego departamentu cyrkulacyjnego, jako też za pośrednictwem organizacji t. zw. „bibliotek wędrownych“.

Każdy mieszkaniec „Większego Nowego Yorku“, który prześle swój adres i przyrzeknie zawiadomiamć zarząd biblioteki o każdorazowej zmianie adresu, zdobywa prawo bezpłatnego pożyczania do domu książek z biblioteki i staje się uczestnikiem działu cyrkulacyjnego. Uczestnik otrzymuje kartę, która służy jako niesłychanie uproszczony rewers na pożyczanie książki, a zarazem zawiera lakonicznie zestawione prawa i obowiązki członka. Uczestnik ma prawo pożyczać 4 tomy książek, ale tylko jeden romans (!), prócz tego jeden zeszyt bieżący czasopisma. Obowiązki są tylko formalistyczne, na karcie niema nawet ostrzeżenia, że uczestnik jest zobowiązany do zwrotu książek zgubionych. Poczucie prawa własności i szacunek dla instytucji publicznej o tak szlachetnym pokroju muszą być wielkie, ale wytrwałe musi być równocześnie przekonanie zarządu, że szkody materialne, uczynione przez jednostki, nie mogą być porównane ze szkodą, wyrządzoną społeczeństwu przez złe pojęty biurokracizm i ciasną formalistykę.

Ruch książek, wypożyczonych do domu, nie mógłby nigdy osiągnąć tych rozmiarów, jakie wykazuje statystyka Biblioteki nowojorskiej, gdyby nie współdziałanie 40 filii, rozrzuconych przez zarząd biblioteki na całej przestrzeni Wielkiego Nowego Yorku, gdyby nie współdziałanie z towarzystwami społecznymi i humanistycznymi, jako też ze szkołami. To współdziałanie powołało do życia instytucje t. zw. wędrownych bibliotek, które z centrali Biblioteki nowojorskiej krążą w dalekim promieniu wśród rozmaitych szkół i szkółek, misji, więzień, ogrodów publicznych i frebrowskich, wciskają się do stacji pożarowych, sygnałowych, policyjnych, ba! do hal maszyn nawet, stoją wreszcie do dyspozycji wszystkich prywatnych ludzi dobrej woli. Biblioteki wędrowne obsłużyły 894 stacyi, którym dostarczono okrągło 85,000 tomów książek; te, krążąc wielokrotnie, wykazały statystycznie ilość przeczytanych książek 820,000 tomów, które dostały się w miejsca odległe, dostępne do tej pory tylko dla kramarzy, wnio-

sy światło i zajęcie duchowe w środowiska, których jedyną rozrywką był „bar“ i atmosfera, wywołana użyciem alkoholu.

Większy oczywiście jest ruch książek za pośrednictwem filii w t. zw. departamencie cyrkulacyjnym. Cyfry, przekazane historii oświaty przez statystykę Biblioteki nowojorskiej, są chyba bezprzykładne. „Większy New York“ liczy nieco więcej niż 3 miliony mieszkańców, z tych około 350,000 ludzi, przeto co ósmy mieszkaniec tego rojowiska zawilego i ruchliwego — korzysta z departamentu cyrkulacyjnego. Gdy się przyjmie, że tylko połowa tych ludzi żyje wśród rodziny, składającej się przeciętnie z pięciu osób, zdobędziemy przekonanie, że atmosfera Biblioteki nowojorskiej ożywia, podnosi i uszlachetnia przeszło milion ludzi. Oto potęga, oto blask i chluba, osiągnięte pracą cichą, wytrwałą, ale pełną miłości dla swego społeczeństwa.

Osiem milionów tomów przeszło w roku 1912 przez ręce czytelników, korzystających z dobrodziejstwa departamentu cyrkulacyjnego. Więcej jednak, aniżeli ta liczba, musi ze stanowiska społecznego imponować, ten zdaje mi się niebywały gdzieindziej fakt, że z liczby krążących książek wypada na powieść i romans tylko mało ponad połowę (55%), reszta zaś, przeszło 3½ milionów tomów książek, ogarnia różnorodne działy nauki i sztuki. Oto wychowawcze skutki Biblioteki, która nietylko szerzy czytelnictwo, ale tępi chorobliwe jego objawy, zastraszające zapędy ku „rapid stories“.

Nie jest łatwym zadaniem danie żywego obrazu całokształtu działalności tej wspaniałej instytucji. Biblioteka nowojorska uczestniczy w wystawach, urządzanych z inicjatywy zarządu miast lub przemysłowców. By zwrócić publiczną uwagę na dobrą wolę, na pożytek Biblioteki, urządza stałe, co miesiąc się zmieniające wystawy z zakresu sztuki w swym głośnym gmachu, pobudza do godnego święcenia dni pamiątkowych narodowej sławy, setkom towarzystw umożliwia istnienie, o ile tylko okazują jakkolwiek pociąg do intelektualnej pracy, do której daje Biblioteka sama ciągle i ciągle nowy impuls. Ostatni punkt programu pracy Biblioteki ma dla nas szczególny interes, bo otwiera nam oczy na współdziałanie Polaków w tej wielkiej akcji, która z inicjatywy Biblioteki przenika całe społeczeństwo nowojorskie.

Biblioteka nowojorska jest instytucją, po-



fol. ze zb. Pol. Tow. Krajow.

DOM PODCINIOWY W WAWOLNICY, POW. PUŁAWSKI.

zbawioną wszelkich ubocznych, powiedzmy nacjonalistycznych tendencji, które w mniej lub więcej silnym stopniu piętnują wszystkie analogiczne urządzenia w Europie... urządzenia małe, ale nie skromne, wrzawą i jaskrawą barwą swej flagi wydymające swe znaczenie. Biblioteka nowojorska ma całkowitą świadomość, że w społeczeństwie nowojorskim jest rozproszonych wiele obcych elementów, które zapewne więcej niż anglo-saski rdzeń społeczeństwa potrzebują pracy nad sobą. Takie jednak składniki społeczeństwa wymagają do tej pracy więcej zachęty, dużo pomocy. Nie zaniedbując anglosaskiego elementu, zwraca się główny zarząd Biblioteki za pośrednictwem swych filii głównie do wszystkich obcych, zamieszkujących W. N. York, rozrzuca pomiędzy nich tysiące broszur i ogłoszeń w różnych językach, zwracając uwagę na Bibliotekę, a szczególnie na prawo wypożyczania do domu książek, które posiada każdy mieszkaniec W. N. Yorku, zaznaczając, że literatura każdego narodu jest w Bibliotece reprezentowana, a zarząd główny czuwa nad tem, by wszelkim żądaniom i życzeniom stało się zadość. W roku ubiegłym rozrzucono 500 broszur w języku chińskim, 1000 w hiszpańskim, 1500 w polskim, po 2000 w węgierskim i gre-

ckim, a 21,500 we włoskim języku. W cyfrach tych wyraża się przedewszystkiem zalew N. Yorku przez Włochów, a zarazem stwierdzenie faktu przez Bibliotekę, że dział książek włoskich wykazuje względnie ruch najsłabszy.

Sprawozdanie Biblioteki podaje tylko dla działu cyrkulacyjnego obraz ilości i ruchu książek w obcych językach. Na podstawie tego sprawozdania możnaby zrazu wyciągnąć wniosek, że jednak Biblioteka traktuje ten dział pomacoszemu. Oto w dziale cyrkulacyjnym znajduje się ogółem 910,000 tomów książek, w tem jednak tylko niewiele ponad 92,000 książek w obcych językach (41,000 niemieckich, 15,000 francuskich, 7,000 włoskich, po 6,000 czeskich i węgierskich, 5000 rosyjskich, 4,000 w żargonie żydowskim, 1,662 w polskim, 1,437 w hiszpańskim, 710 w szwedzkim i t. d.).

Sąd ten byłby jednak przedwczesny. Biblioteka cyrkulacyjna jest odzwierciedleniem życzeń swoich klientów. Wyrazem tych życzeń jest chyba współczynnik, podający, ile razy żądano w ciągu roku książek angielskich lub obcych; z takiego rozważania okazuje się, że przeciętnie każda książka angielska przeszła w ciągu roku przez 9 rąk (rodzin), natomiast książka w obcym języku była przeciętnie tylko 5 ra-

zy żądana. Jeśli w dziale dzienników leżą na stołach tylko dwa polskie pisma, jeśli dział ciekawych nie zna książek polskich, a dział dla dzieci nie rozłącza swego uroku na polskie dzieci... to wina Polaków! W ostatnich czasach daje się odczuwać pewien zwrot ku lepszemu. Publiczność polska zaczyna się domagać książek w swoim języku, czyta je oczywiście chętnie, a zwraca do Biblioteki punktualnie, skoro każda polska książka mogła osiągnąć w ciągu roku sześciokrotny obrót; tem samem ruch polskich książek osiągnął w rzędzie obcych języków czwarte miejsce (książki żargonu żydowskiego 12-tokrotny obrót, węgierskie i rosyjskie 8-miokrotny obrót). Nie brak wreszcie w ostatnich latach w świetle statystyki biblioteki nowojorskiej i innych objawów koncentracji społeczeństwa polskiego. Wyrazem tego jest przedewszystkiem coraz żywsze i częstsze domaganie się polskich książek w trzech bibliotekach filialnych: Rivington Street 61, Tomquins Square (10 th Str. 331 East), jako też Columbus (31 th Str. 742 Tenth Avenue), dzięki czemu nietylko w tych bibliotekach nagromadzono znaczną ilość książek polskich, ale nawet mimo konkurencji z innymi narodami, szukającymi w tych bibliotekach opieki dla swoich potrzeb umysłowych, zdobyto w zarządzie biblioteki na Tomquins Square współdziałanie Polaków.

Publiczne przejawy polskiego życia umysłowego są jednak jeszcze ciągle w porównaniu do życia innych narodów niezwykle mdłe i słabe. Zarząd Biblioteki nowojorskiej używa nielada sposobów agitacyjnych, by różnorodny tłum nowojorski pobudzić do organizacji, któraby miała za cel samokształcenie i rozwój życia towarzyskiego o szlachetniejszym podkładzie. Prócz licznych drobnych przynęt daje też zarząd Biblioteki wszelkim stowarzyszeniom społecznym i kulturalnym bez względu na ich koloryt narodowy do rozporządzenia liczne sale i lokale, rozrzucone po wszystkich stronach nowojorskiego rojowiska w 40 gmachach filii bibliotecznych. W ciągu roku przeszło 1,400 posiedzeń różnych towarzystw jedenastu narodów obradowało w salach, należących do różnych filii Biblioteki publicznej. Na 216 posiedzeniach zbierało się towarzystwo włoskie, na 184—żydowskie, 154 węgierskie, 125 litewskie, 52 fińskie, 42 czeskie, na 10 polskie („Oświata“ i „Orzeł Biały“), na 9 rosyjskie, tyleż rumuńskie, na 3 niemieckie, na 634 zaś angielskie. Brak Niemców, Francuzów, a nawet Rosyan i Skandynawczyków w tej pracy tłumaczy się przedewszystkiem tem, że siłą organizacji wzniosły się ich towarzystwa na tak wysoki stopień rozwoju, że nie potrzebują się oglądać na humanitarną pomoc i agitacyjne nawoływanie ze strony Biblioteki. Ogromna z dru-

giej strony przewaga pracy angielskiej tłumaczy się w znacznej mierze przedewszystkiem pragnieniem wywarcia asymilacyjnego wpływu drogą humanitarnej i oświatowej działalności. Drogi tej pracy angielskiej są nietylko wszechstronne, ale i niezwykle skuteczne. Nietylko bowiem posiedzenia, odczyty i zabawy, urządzone przez towarzystwa angielskie, są tłumnie nawiedzane przez pstrą pod względem językowym ludność Nowego Yorku, ale też główną i przewodnią myślą, która przedewszystkiem przyświeca różnym narodom w organizacji towarzyskiej, jest pragnienie nauczania się języka angielskiego. Z liczby 804 posiedzeń 11 nacyi 739 posiedzeń poświęconych było nauce języka angielskiego, jako też zbratania się ze społeczeństwem, które zawdzięcza swą niesłychanie przyciągającą siłę przedewszystkiem temu, że żadnej indywidualności narodowej nie darzy niechęcią czy wzgardą. Otwarte dla wszystkich narodów świata salony Biblioteki są jednak wielkim warsztatem asymilacji, w którym wprost można oglądać żywy proces tworzenia się narodu nowego — amerykańskiego.

Znakomite powodzenie, rozwój i wpływ zawdzięcza Biblioteka Publiczna nietylko wspaniałomyślności fundatorów, szlachetności idei, która ogarnęła wszystkie organy, zarządzające tą potężną instytucją, ale w nie mniejszej mierze pilnemu staraniu ze strony zarządu, by wszyscy zajęci w bibliotece spełniali swe zadanie nie tylko z należytą sumiennością, ale także z należytem zrozumieniem rzeczy. W tym to celu założono przy Bibliotece szkołę bibliotekarzy, której zadaniem jest przedewszystkiem zaopatrzenie Biblioteki w siły zawodowe. Kandydaci do szkoły bibliotekarskiej (Library Schol) muszą się wykazać stopniem naukowym szkoły wyższej (high School graduation), jako też znajomością języka francuskiego i niemieckiego. Wstępny egzamin, obejmujący historię, literaturę, problemy społeczno polityczne i znajomość języków, jest bardzo surowy i zapewnia tylko najlepszym kandydatom wstęp do szkoły. Kurs trwa zasadniczo jeden rok, a najlepszym uczniom zapewnia rok drugi praktyki w Bibliotece, a na przyszłość stałe zajęcie. Nauka szkolna obejmuje cztery grupy przedmiotów: administrację, technikę bibliotekarską, bibliografię, jako też krytykę materiału bibliotecznego, opartą stale o ćwiczenia praktyczne, którym już w pierwszym roku poświęca się według programu około 40 godzin czasu.

Budżet Biblioteki nietylko odpowiada olbrzymim zadaniom, które spełnia, ale jest też istnie amerykański. Suma dochodów wynosiła w roku 1912 okragło 1,215,000 dolarów. Na dochód składały się głównie dwie wielkie pozycje: 2,300,000 koron jako dochód fundacji,

jako też 3,250,000 koron subwencji, którą daje miasto N. York, jako zwrot kosztów urządzenia i utrzymania bibliotek filialnych. W rzędzie licznych innych pozycji dochodowych, pochodzących przedewszystkiem z drobnych fundacyi specjalnych, budzi największe zainteresowanie pozycja: kary za zniszczone lub zgubione książki, która przyniosła w r. 1912 pokaźną sumę 180,000 koron! Wydatki można zestawić podług trzech głównych pozycji: 1) administracja biblioteki i budynków, która pochłania rocznie około 1,300,000 koron, 2) płace urzędników i służby, ogółem armii, składającej się z 1002 ludzi, które wyniosły 3,235,000 koron, wreszcie 3) zakupno i oprawa książek, na którą wydano w r. 1912 — 1,165,000 koron. Przeszło 300,000 koron skierowano do funduszu żelaznego.

Na stan biblioteki w końcu r. 1912 składało się 2,090,220 tomów książek, 74,488 obrazów i sztychów, jako też 7,000 map; przyrost biblioteki w roku sprawozdawczym wynosił 46,000 tomów i 70,000 broszur, w $\frac{3}{4}$ częściach pochodzących z darów i wymiany dubletów.

Biblioteka publiczna w N. Yorku wybiła się ogromem spełnianych zadań społecznych na czoło wszystkich pokrewnych instytucji światowych, a wsparta o olbrzymie środki dąży szybkimi krokami do stanu, w którym rywalizować będzie i pod względem materyalnym z najsłynniejszymi bibliotekami Europy, na których sławę i potęgę składały się wieki historii.

Biblioteka publiczna w N. Yorku jest jedną z tych licznych instytucji, zrodzonych w głowach i sercach, tęskniących do tego, czego Ameryce brak... do historii! Ta tęsknota do historii, tak namiętnie budząca się wśród społeczeństwa amerykańskiego, to skuteczne lekarstwo przeciw złowrogim i brutalnym skutkom rozlicznych objawów amerykańskiego demokracji. Problem, który mam na myśli, objaśnię na przykładzie stosunków, panujących w Bibliotece Publicznej. Z budżetu Biblioteki wiadomo, że płace wszystkich urzędników i służb bibliotek wynoszą rocznie 647.000 dolarów (1.300.000 rubli), czyli, że przeciętna płaca roczna na osobę wynosi 646 dol. (1290 rubli).

Armię ludzi zajętych w bibliotece można podzielić na trzy kategorie: 1) stanowiska naczelne, do których zaliczam zajęcia na szczytach administracji i techniki, jako też kierowników oddziałów i filii, 2) stanowiska naukowe, pomocnicze, do których należą bibliotekarze, podzieleni na 4 stopnie, wreszcie 3) służba, odźwierni, robotnicy i t. p. stanowiska pracy fizycznej. Ze sprawozdania dyrektora Biblioteki wynika, że do pierwszej kategorii zalicza się 106 osób, do drugiej 616 osób, do trzeciej zaś 280 osób. Płaca za pracę fizyczną jest bardzo jednostajna i wynosi przeciętnie w myśl sprawozdania 600 dolarów rocznie (1200 rubli), przeciętną płacę stanowisk naczelnych szacuję na podstawie kilku informacji osobistych, a zapewne niżej rzeczywistości — wynosi ona 2000 dolarów rocznie (4000 rubli); wynika przeto z tego, że najliczniejsza rzesza naukowo wykształconych urzędników bibliotecznych musi się zadowolić przeciętną roczną zapłatą, wynoszącą 433 dolarów (866 rubli). Gdy zaś urzędnicy i pomocnicy są podzieleni na 4 klasy, przeto oczywiście, że najmłodsza ich klasa, do której należy przeszło 250 ludzi, musi zaspakajać swe potrzeby z dochodów robotnika czy też sługi, dozorującego windę lub publiczne miejsca ustępowe.

Stosunki te, w Ameryce pospolite, w instytucji wyrosłej na tle idei budzenia intelektualnych porywów zapewne mniej drastyczne, niż gdzieindziej, nie mogą budzić w realistycznym społeczeństwie amerykańskim zachwyty dla zajęć umysłowych. Kultura umysłowa społeczeństwa amerykańskiego byłaby w najbliższej przyszłości na nielada szwank narażona, gdyby nie... tęsknota do historii! Tak jednak, jak w starym społeczeństwie europejskim budzi tęsknota do przyrody najszlachetniejsze porywy ochrony jej ostatnich zabytków, tak w społeczeństwie amerykańskim powołała tęsknota do historii tak wspaniałe gniazda ochrony kultury umysłowej jak instytut Carneggiego, Mac Donalda, rozliczne uniwersytety prywatne, wreszcie Bibliotekę publiczną w N. Yorku, która jest w szeregu tych dzieł, zrodzonych w szlachetnym porywie, nie ostatnim klejnotem.



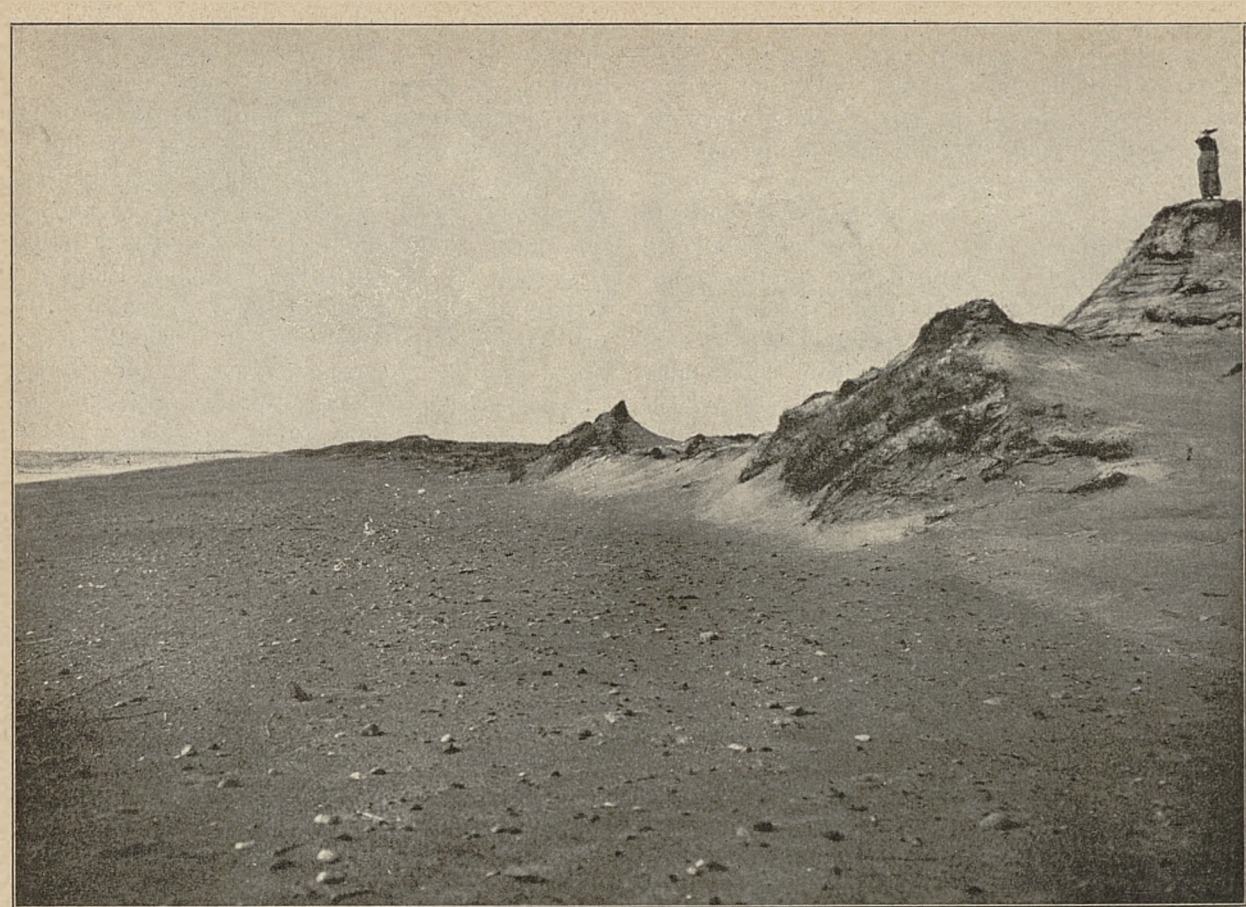
Nora Walicka.

POŁĄGA.

1)

Poługa, dzisiaj coraz bardziej znana miejscowość jako uzdrowisko, była wsią rybacką

od niepamiętnych czasów. Nazwa jej pochodzi bezpośrednio z języka ludu, który od wcze-



SZCZĄTKI WYDM.

tot. ze zb. Pol. Tow. Krajozn.

snego średniowiecza zamieszkuje tę ziemię. Złożyły ją dwa wyrazy żmudzkie¹⁾. Lud wiejski mniema, że nazwa ta powstała stąd, że woda morska sięgała okien chat mieszkalnych. Uczeńsi jednak Żmudzini wyprowadzają tę nazwę stąd, że wyraz okno może być w języku żmudzkiem uważamy również za port (okno na morze). Nazwa ta wskazuje więc na istnienie portu pod Połągą.

Żmudzką (litewską) nazwę Połangos od dawna przyswoiliśmy w naszej mowie, odrzucając s i zmieniając a na o. Jednakże wniosek, iż od r. 1902 warszawianie, licznie przybywający tam latem, wprowadzili literę ą, zamiast dawniejszej — on, jest fałszywy, gdyż ą — a nie — on — (Połąga)²⁾ spotykamy już z r. 1842 w rękopisie Justyna Narbuta.

Ziemia, na której leży Połąga, jest ostatnim zachodnio-północnym krańcem byłego biskupstwa żmudzkiego, założonego w r. 1416, gdzie najprzedniejszym senatorem był biskup (patrz Bartosz Paprocki z r. 1584) a nie wojewoda, stąd ziemia ta nie miała tytułu woje-

wództwa¹⁾. Poza tem Żmudź miała dwunastu lub czternastu ciwunów, którzy sprawowali urzędy sądowe i prawne; Ciwuństw tych było czternaście: ejragskie, wielkich Dyrwian, małych Dyrwian, retowskie, użwentskie, pojurskie, twerskie (Twery), szandowskie, berżańskie, wendziagolskie, korszewskie, wiekszniańskie, soudyńskie, birżyniańskie. Miejscowości te do ostatnich czasów, a przeważnie do dziś dnia, są własnościami prywatnymi.

Księstwo żmudzkie za księcia Witolda podzielone było na dwanaście powiatów; miastami powiatowymi były naówczas: Miedniki czyli Wornie, Eyragoła, Kroże, Koltyniany, Rosienie, Wielona, Cetra, Łukiszki, Kroki, Popielany, Krakinów, które to miasta pobudował Witold. Następnie została ziemia żmudzka podzielona na 28 powiatów. Sądy jednak ustanowione były tylko w Rosieniach i Telszach. Do wyżej wymienionych powiatów przybyło przeto szesnaście (Wilkiżki, Widukle, Wen-

¹⁾ Pa-langos, lub pa-longos, znaczy do okien, do okna, po okna.

²⁾ Patrz np. Słownik geograficzny Lesickiego i Szymanowskiego z r. 1854.

¹⁾ O biskupstwie żmudzkiem pisał biskup Maciej Wołoncewski po żmudzką, skąd piękny przekład uczynił Jan Maurycy Hryszkiewicz, pradziad autorki, zaopatrując dzieło w liczne komentarze i dodatki.



Spichrz modrzewiowy w Górznie (własność St. i T. Wilkońskich).



ca zb. Pol. Toso. Krajozn.

WŚRÓD WYDM NADBRZEŻNYCH POD POŁĄGĄ.

dziagoła, Jaswojnie, Szawle, Wielkie i Małe Dyrwiany, Berże, Użwenty, Telsze, Retów, Pojurże, Wieksznie, Kurszany, Szaudy, Gondyuga, Potumsze, Twery, Birże, Powondenie, Nadyugiany, Karkle, Żory i natenczas powiatowem miastem była Połąga.

Do wieku XIX księstwo Żmudzkie pokryte było puszciami nie do przebycia, w w. XVII nieco przeredzonymi; w XVIII znów, skutkiem ubytku ludności z powodu powietrza morowego, puszcze zgęstniały. Dopiero w wieku XIX zaczął się stanowczy ubytek lasów. Równocześnie poczęła zanikać obfita i różnorodna zwierzyzna. Żubry, łosie, dziki, niedźwiedzie, lisy, rysie, wydry, kuny, łasice, gronostaje ustąpiły miejsca zajęcom i wiewiórkom; zaledwo gdzieś niegdzie ukazują się wilki, rysie i borsuki, zanikające z każdym rokiem, a nieprzebrane słynne żmudzkie barcie leśne należeć będą niebawem do legend. Na miejscach dawnych puszczy kopiają włościanie torf na opał zimowy. Jeszcze w latach 1880—1895 stały ogromne lasy między Połogą a Kretyną, Gruszlawkami, Wieżajciami, Sterklawkami, Tryszkami, Taurogami. Dzisiaj lasy są jeszcze około Retowa, Płungian, Kalwaryi.

Dawny typ ludności w bardzo małej ilości zachował się jeszcze w Szawelskiem i Rosień-

skiem. Spotkać tam można ludzi o włosach prawie czarnych, oczach mieniących się, takich, jakie Francudzi zwą: couleur du temps. Twarze mają wygolone, włosy krótko, okrągło przycięte, profil wydatny, suchy, zęby nadzwyczaj ścisłe i białe, kompleksi suchej, szczupłej; trafiają się siłacze, którym się udaje sześciokonną młockarnię zahamować. Twarz pięknej Żmudzinki będzie zawsze w typie Madonny, z wzniesionymi oczyma, wyrazem nieco bolesnym a słodkim. Widzieć można twarze o rysach aż zbyt regularnych, zawsze szczupłe, ciemnowłose o czarnej oprawie głębokich, szafirowych oczu. Niestety typ ten zupełnie zanika, mieszając się z typem Krywiczian, którzy są silnie tu reprezentowani i wnoszą swe prawie tatarskie rysy, pospolitą budowę czaszki i wzrost mały.

Żmudź była ongi terenem do chętniej, z różnych stron nadchodzącej propagandy religijnej. Jako pewnik historyczny podają, iż jeszcze przed w. XIV chrześcijaństwo krzewił tu św. Olaf, król norweski. Z późniejszych czasów mamy tu wspomnienie Szkotów, małemi koloniami tu przebywających, szerzył się też silnie kalwinizm. W najbliższych czasach spotykało się sporadycznie Szwedów i Duńczyków, przybyłych tu w celu gospodarczo-zarobkowym. W dawniejszych czasach Grecy przyplływali tu

po bursztyn, a w otwieranych kurhanach znajdują się ozdoby z pięknego brązu rzymskiego, miększego od złota.

Czasy pańszczyzny na Żmudzi zaznaczyły się wyjątkową łagodnością obyczajów i w wielu wypadkach przykładami wzajemnego przywiązania i szacunku, w przeciwieństwie do innych okolic. Na dawnej Żmudzi stawiane były świątynie dla bóstw pogańskich. W świątyniach tych były wyrocznie zwane Żniczes (od „żinoti“ — „wiedzieć“, dosłownie: wszystko-wiedzące, mówiące, wiedzące). Te wyrocznie polscy kronikarze i historycy przeistoczyli na Znicze — i wyraz ten najfałszywiej jako nazwę ogniskom świętym przypisali, a chociaż w końcu XIX wieku ktoś chciał sprostować ten błąd, do prawdy jednak nie dotarł, a zmienił tylko jego formę, dowodząc, iż nie ogień zwał się Znicz lecz kapłan, pilnujący ognia, co jest również najzupełniej od prawdy dalekie. „Peruna i innych wymienionych bożków Żmudzini wszędzie wyznawali i czcili, a najbardziej na wysokich górach i w świętych gajach. Cztery były największe świątynie Żmudzi: pierwsza niedaleko Połagi w borze na górze Biruty, druga na wyspie przy ujściu Dubisy do Niemna, trzecia nad rzeką Niewiażą, czwarta na górze Szatryi. W każdej z tych świątyń były posągi bożków. Najslawniejszy posąg, który był kiedyś na górze przy Połdze, wielki książe Giedymin prze-



fol. P. Mongird.

TYPY DZIEWCZĄT Z OKOLIC POŁAGI.

wiół do Litwy i umieścił w najgłówniejszej świątyni wileńskiej.



Al. Janowski.

Imigracja polska w Stanach Zjednoczonych. ³⁾

Banki imigranckie (Immigrant Banks).

Wysyłka zarobionych pieniędzy do krajów macierzystych stanowi przedmiot troski gospodarzy Unii, tak praktycznej, gospodarnej i w pieniądzu czczącej potęgę. Już parokrotnie w kongresie toczyły się obrady, aby prawnie zabronić wysyłki pieniędzy do Europy, akt wprawdzie ograniczający nie został wydany dotychczas — przyszłość jednak może go przynieść.

Jeżeli rzeczywiście prawdziwą jest cyfra wysłanych pieniędzy, wskazana przez Komisję Imigracyjną, to zaiste byłoby o'co się targować.

Ubogi i ciemny przybysz obawia się trzymać pieniędzy i składa je do „Banku“, jakich pełno jest w każdej dzielnicy imigranckiej. Bankier zwykle sprzedaje też karty okrętowe, realności, czasem ma golarnię, odnajmuje pokoje, często posiada „grocery“ lub „salun“, czyli sklep spożywczy lub szynk. Zwykle jest to sprytniejszy od innych „rodak“ polski, lub „krajak“ słowacki, albo „Banca Garibaldi“ dla Włochów. Bankier zna język angielski i obowiązujące prawo, jest więc aniołem opiekuńczym kolonii: pisze listy, otrzymuje pocztę, sprzedaje, kupuje, radzi i... ciągnie, co się da.

Typowe są banki włoskie. Oto ogłoszenie jednego z nich: „Bank włoski. Wysła pieniądze do Ojczyzny, sprzedaje karty okrętowe. Biegły Notaryusz. Wielki wybór kart pocztowych we wszelkich gatunkach. Instrumenty muzyczne najlepszej marki. Wyborowe cygara „of the Colebrated Garibaldi Tobacco“. Groczeria Włoska. Wymiana pieniędzy“.

Do takich „banków“ składa się krwawo zarobione pieniądze w dwóch celach: albo jako procentujący depozyt, albo też do wysłania do domu.

„Bank“ nie jest ani legalizowany, ani odpowiedzialny; często też, bardzo często depozyty przepadają, a pieniądze do „starego kraju“ nie są wysyłane. Na bankierów, grasujących wśród Polaków i Rusinów, surową naganę przeprowadził konsul austriacki i parę najszkodliwszych pijawek wpakował do więzienia, jak się to stało z osławionym „bankierem ze Lwowa“, Iberallem.

Często bankier jest „Notary Public.“ Oba te tytuły w krajach macierzystych otoczone są aureolą powagi, notaryat cieszy się zawsze szacunkiem i zaufaniem. Tutaj „Notary Public“ sprzedaje nieistniejące realności lub grząskie działki bagien, jako wyborową ziemię, która leży gdzieś o 20—30 godzin drogi, więc obejrzeć jej nie można.

Komisja imigracyjna niemały miała kłopot z powierzchownem choćby zbadaniem owej osławionej sprawy bankowej: 2,625 „banków“ odmówiło wszelkich objaśnień; zbadano zaledwie 116 takich instytucji i to zapewne o tyle uczciwych, że nie lękały się przejść przez badania.

Polskich banków zbadano 16; w niektórych sprzedawano karty okrętowe, realności, stręczono pracę, jeden był w księgarni, dwa z „salunami“.

Materyały statystyczne, zebrane przez komisję, bardzo są ubogie: jest wykazane, że w dwóch bankach polskich 215 depozytaryuszów złożyło 12,200 dolarów, co stanowi po 56,74 dol. na głowę, a u innych narodowości wypada o wiele więcej. (Włosi 63,23, Bułgarczy 78,07, Żydzi 90,45, Grecy 115,90).

Jest też wykazane, że przez 9 banków wysłali Polacy w 1908 roku do kraju 296,000 dolarów. (W tym samym czasie Słowacy wysłali 475,750, Kroaci 981,000, a Żydzi 1,853,750 dolarów).

Wogóle co do wysyłanych pieniędzy trudno

jest niezmiernie oryentować się, gdy idzie o państwa o mieszanej narodowości, jak Austria lub Rosya. Wykazy pocztowe formowane są tylko państwowo, lecz z tego nie można wyodrębnić wysyłek do poszczególnych krajów. Cyfry jednak są rzeczywiście zdumiewające. Departament pocztowy Stanów Zjednoczonych wykazuje, że w ciągu dekady (1900—1909) wysłano do Europy ogółem 419,297,952 dol. 99 ct., z czego do

Austrii	41,208,905,67
Rosyi	41,920,380,12
Niemiec	34,638,012,38
Włoch	98,368,279,95
Węgier	42,193,906,62
Wielkiej Brytanii	82,796,161,17

Biorąc zaś w rachubę i inne części świata, departament pocztowy wykazuje wysyłek ze Stanów w ciągu wspomnianej dekady 498,971,031 rubli t. j. pół miliarda dolarów, czyli miliard rubli.

Napływające z tego źródła do Polski pieniądze niemały też stanowią cyfrę.

Zebranie ściśle pewnego materyału obrotów pieniężnych wśród naszych imigrantów jest o tyle jeszcze trudniejsze, że wielu z nich składa depozyty u proboszczów parafii, gdzie już oparte jest wszystko na wzajemnem zaufaniu, a kontrola jakakolwiek jest niemożliwa.

Czasem obie rzeczy się kombinują razem: widziałem parafialne obrazki N. M. P. z wydrukowaną na drugiej stronie reklamą pewnego banku, który jednak zbankrutował i zarwał klientów na znaczne sumy.

Teraz o bankructwach słyhać mniej. Istnieje parę polskich banków zupełnie uczciwych i solidnych, ale jednak różne Iberalle grasują jeszcze, a ludzie, złudzeni wyższym procentem od depozytów, składają im swe oszczędności, niebacznij że w 1906 r. bankier w Pittsburgu „Leo Golebrowski (?) polish Hebrew“ zbiegł, unosząc 15,000 dolarów, a w 1909 r. „Geo Grucinski, Polish Hebrew“ tak samo zniknął z Pittsburga z 5,500 dol. Kradzieże takie gęsto trafiają się i wśród innych narodowości: Pietro Mancuso uciekł z 40,000 dol., a słowacki bankier Peter Rutsek — z 75,000 dol. krwawicy swoich klientów.

Można przypuszczać, że obecnie sprawa „banków“ jest jako tako uspokojona i nie słyhać o jakichś gorszących nadużyciach.

C. D. N.



Z NASZEJ TURYSTYKI.

Tadeusz Radliński.

„Gdzie wschód się kończy...”

5)

Szybko mijamy jednak ten zimowy krajobraz. Popołudniu śniegi prawie że znikły. Ten dzień i następny jedziemy przez inne już okolice — pagórkowata, falista miejscowość, lasem pokryta. Lasy jednak dziwnie smutne robią wrażenie, jakiegoś straszego zniszczenia, przygnębiającej niedbałości człowieka o te skarby przyrody. Przeważna większość drzew leży na ziemi, od wichrów mroźnych strzaskaną. Sterczą smutne pnie na wysokości głowy ludzkiej, potężnym tchnieniem północy w strzępy potargane. W wielu miejscach całe wiorsty wypalone: stoją czarne, ponure kikuty — pierwsze świadectwo pochodzenia cywilizacyjnego człowieka ku wschodowi: niszczy i marnuje wszak to nie twoje — to „kazionne”!.. Gdzieniedzie wspaniałe syberyjskie modrzewie wznoszą ku niebu jasne potężne pnie, zdobne w jasno-zielone kitki igliwia. To znów kopulaste syberyjskie świerki o ciemnej zieleni.

Wieczorem stajemy w Krasnojarsku nad potężnym Jenisejem. Nasz rączy № 6 dopędza tam i mija spokojny pocztowy № 4. Z pewnego rodzaju wyższością spoglądamy na pasażerów tamtego pociągu, który na przestrzeni pomiędzy Moskwą a Mandżuryą idzie o dwie doby dłużej. Natomiast w nocy nas z kolei minął w ten sam pogardliwy sposób ekspres, który wyszedł z Moskwy w poniedziałek (my w sobotę), a drugi minie nas w Czańczuniu, ten, który z Warszawy wychodzi we wtorki, międzynarodowy — i ten to właśnie czas od piątku rano do wtorku wieczór jest czasem zyskanym na ekspresie (4½ doby), a straconym na kieszeni (200 rb. przeszło). Zaraz za Krasnojarskiem przejeżdżamy Jenisej. Rzeki syberyjskie nie zrobiły na mnie wrażenia. Wszystkie te potężne, aczkolwiek, jak dotąd, dzięki kierunkowi, bezużyteczne arterie komunikacyjne przejeżdżamy jakoś zawsze koło 10—11 wieczór. (Ob, Czulyń, Jenisej). Nic więc nie widać, prócz migania krat żelaznych, i czuć wilgotne, chłodne tchnienie wielkich zimnych wód. Nie ma, jak ongi na Woldze pod Batrakami, ani cudnej wiosennej nocy, ani księżycy, ani chórów, ani nastroju!

III. Bajkał i Zabajkałje.

W sobotę rano, dziewiątego dnia po wyjeździe z Warszawy stajemy w Innokientiewskiej (Innocentówce), krańcowej stacji Syberyjskiej drogi żelaznej, o 7 wiorst od Irkucka, stolicy Zachodniej Syberyi. Stąd zaczyna się już de facto droga Zabajkałska, choć te same wagony dowieżą nas do Irkucka. W Irkucku zmiana pociągu — kupowanie placart, obiad — i zmiana zegaru. Posuwamy nasze zegarki o 4½ godz. naprzód; nie będziemy już wstawać

o 3 rano, obiadować o 8 rano, a kłaść się spać o 5 po południu. Wobec tylu zajęć nie zdążyłem przez 1½ godz. obejrzeć miasta — stolicy Syberyi.

W Irkucku pozostawiamy większość naszych współpasażerów, więc i berlińską kupczycę z mężem i Stiepana Jakowlewicza i naszego pułkownika, który tu się zatrzymuje u brata całą dobę (ożenił się niedawno nieborak, a wiadomo, jaką ulgą jest pokrzepiające słowo braterskie w nieszczęściu!)

Placujemy się więc we trójkę — ja, Włodek i Fan-Fanowicz w obszernym „coupé” kolei Zabajkałskiej i ruszamy ku W. Bajkałowi o 12½ w południe. Pociąg nasz szybko biegnie wzdłuż brzegów Selengi. Bystra górská rzeka toczy swe przejrzyste wody po skalistym łożysku. W godzinę stajemy nad Bajkałem, którego wspaniała panorama wyrywa okrzyk zachwytu z piersi oczarowanego podróżnika.

Cudny, potężny, „święty” Bajkał! Jakże wielkiego trzeba pióra, by twoją potężną, wspaniałą kraśną opisać!

I żadne nie będzie tak mocne, żeby oddać całą twą wspaniałość i majestat w jasnym blasku majowego słońca w południe. Ty, którego długości oko ludzkie, choćby najbystrzejsze, sprostać nie zdola, którego głębokości nie potrafiła jeszcze zbadać wszechwiedząca dłoń ludzka, a potężny pancerz twój, ręką wszechwładnej zimy ukuty, jest tak mocny, że wpoprzek twych wód pod lodem drzemających ułożona kolej żelazna podczas wojny japońskiej dźwigała tysiące wojowników ku wschodzącemu słońcu dumnie dążących. W łaskawości twojej pozwoliłeś świętokradzkiej dłoni człowieka ujarzmić się chwilowo w nagłej potrzebie, lecz bieda śmiałkowi, co bez twego łaskawego pozwolenia twe święte wody wiosłem mącić pocznie. Straszliwa burza, gorsza od oceanicznej, pochłonie go w zimnym bezdennym grobie.

Olbrzymia potężna tafla wód lśni w blasku słonecznym; po przeciwnej, południowej stronie piętrzą się śniegiem pokryte błękitnione przez oddalenie (w linii powietrznej 30 km.) masy górskie. Przy przeciwległym brzegu połyskuje biały lodowy zator: lody jeszcze nie zupełnie spłynęły i kra leży u południowych wybrzeży. Wzdłuż oko gubi się w srebrzysto-błękitnawej dali bezkresnej.

Piękny jest Leman błękitny, gdy się nań patrzy z północnego wybrzeża z Ouchy, a przeciwległe góry rozplywają się w siniejącym oddaleniu, ale w swej słodkiej, łagodnej piękności nie może sprostać olbrzymiej potędze wspaniałego Bajkału. Tu czuć jakąś dziką potęgę olbrzymiej perły azyatyckiego łądu, jakąś wszechmocną siłę w tej cudnej górskiej panoramie i niezmierną głębokość jego

wód! A choć słońce wyzłaca jego gładką jak lustro powierzchnię, czuć, że to potężny olbrzym, uspio-ny w objęciach cichej słonecznej pogody; lecz gdy dziki wicher górski z niezmiernych stepów północy zbudzi go do walki i straszliwą pobudkę mu zagra, wtedy straszny jest Bajkał i nic mu dorównać nie jest w stanie! Straszliwe bruzdy fal marszczą gładką, jak teraz, toń, niszczą każdy twór ludzki, co im stawić czoło się ośmieli.

Linia kolejowa wiję się kręto nad samym brzegiem przepaści pod prostopadłą prawie ścianą brzegową, wciąż liczne mijając tunele.

Robią tu obecnie drugi tor i podnoszą o parę metrów stary, wysadzając dynamitem skały i budując mosty potężne. Tysiące rąk ludzkich jest przy pracy i pociąg idzie wolno, wijąc się po skrętach wybrzeża. Długo stoimy zapatrzeni w cudny widok. Dziesięć godzin pociąg okrąży zachodni róg jeziora, i noc kryje nakoniec Bajkał, a my wciąż jeszcze jedziemy południowym jego brzegiem. Pierwszy to prawdziwie piękny dzień podróży i pozostawia niezatarte wspomnienie.

Nazajutrz mamy niedzielę, czuć wiosnę w powietrzu. Pociąg nasz, wijąc się jak wąż barwny, spina się w poprzek gór Jabłonowych. Ładny, lasem porosły, zielony łańcuch górski. Na stacji Jabłonowej niedzielny wiosenny nastrój! Cały pociąg wylega na peron i wszyscy przyglądają się wesolej parce młodzieńskich niedźwiadków, w górach niedawno złapanych, śmiesznie z niezgrabnymi ruchami niemowlęctwa bawiących się pod cieniem drzew ogródka stacyjnego. Kładę im kawałek bulki i czekolady na rozłożystym pniu jabłoni pomiędzy sękami: dopiero uciecha, gdy się to nawzajem spycha, pragnąc dostać kudłatą twarzą o pocziwych, blisko osadzonych oczach przysmak, który nosem czują zdaleka.

Szkoda, że trzeba jechać! żal zostawiać „misiów“. Wieczorem Czyta, główne miasto Zabajkalja.

Nasza ładna Olga Siergiejewna wraz z mężem studentem i muzykalną Lienoczką wysiadają. Rzedną szeregi.

W nocy spać nie mogę— duszno w przedziale— wychodzę i staję na platformie ostatniego wagonu. Stacja Karymska. Z tyłu do naszego pociągu podstawiają parowóz: będzie nas popychał na t. zw. Adryanowski „podjom“—przełęcz. Naokoło cicha noc wczesnej wiosny. Księżyc nie widać, ale nie jest bardzo ciemno. Szafirowa toń otacza nas z góry — naokoło ciemno-szare kontury ścian urwistych. Z ty-

łu, tuż przed moimi oczyma, ciężko sapiący żelazny potwór śle pod ciemne niebiosa miliony złotych iskier. Wspaniały kontrast. Stoję zapatrzony. Ta walka tytanów — ludzkiej potęgi z niezmiennym prawem ciężenia ku dołowi — to wtłaczanie ciężkiego pociągu na wysoką przełęcz ma dla mnie czar jakiś pełen siły i potęgi. Mija godzina jedna — druga. Gdzieś daleko w dole widnieją jeszcze światełka stacji Karymskiej. Nasza linia wi-je się kręto w górę wśród młodą brzoźką w zieleni pokrytych zbocz przełęczu, robiąc kilkuwiorstowe pętle i wciąż powracając do tych samych miejsc, tylko wciąż wyżej i wyżej. Widzi się zwycięstwo ludzkiego geniuszu nad martwą materią! Na wschodzie niebo fioletowiec zaczyna, potem seledynowe odbłaski przeświecają przez młodą listwę brzeziny; złote skry ciężko dyszącego tuż przedemną smoka z hałasem, snopem szczerozłotym wybiegają pod fioletowe niebiosa, deszczem złocistym opadając na szarą, ale już zlekka od wschodu zieleniejącą ziemię. Cudny widok tego zmagania się światła z ciemnością... Wieczna walka Ahura-mazdy z Arymanem i zwolna jasny świt opromienia wesole zielone pagórki, do których szczytu zwolna a ciężko zbliżają nas nasze dwa ciężko dyszące parowozy. Ot — i koniec przełęczu za chwilę. Rzucam ostatnie pożegnalne spojrzenie na parowóz przedemną i widzę, że czerniejąca jego sylwetka w jednym końcu blask jakiś sama nieci... to iskra — zamiast wylecieć pod dalekie niebiosa, padła gdzieś na suche deski tendra i mały płomyczek — zwiastun wielkiego być może pożaru—liże deski zgłodniałym językiem zniszczenia... A może to geniusz nocy i przełęczu, mszcząc się za zwycięstwo martwego żelaza i lotnej myśli człowieka w żywy organizm sprężniętych, iskrę pożogi tam skierował... Nie wiem; nim zdołałem znakami dać znać maszyniście, że za jego plecami pali się tender, ostatni głęboki wawóz się kończy, plant opada ku dołowi, koła zaczynają szybciej turkotać w wartkim biegu, a parowóz stanął, już niepotrzebny, i zaciął. Przez chwilę widzę jeszcze jego sylwetkę czerniejącą w głębokim przekopie — najwyższym punkcie przełęczu — potem ratowny skręt i szybko bieżymy wśród niesu-tych zielonych lasków naprzeciw ku wschodzącemu słońcu. Tak wartki potok życia bieży wciąż szybko naprzód na spotkanie słońca przyszłości, a wszystko, co mija w bieżącej chwili, nie jest potrzebne, zostaje w ciemnym wawozie, ginąc w falach zapomnienia. Pierwszy promień wschodzącego słońca—zmęczony idę spać.

C. D. N.



Listy do Redakcyi.

Meteorologiczny opis wyżyny Świętokrzyskiej pana S. Lencewicza nasunął mi kilka krytycznych uwag, co do których uważam, że posłużą może dla wyjaśnienia genezy zjawisk w świetle obserwacji autora błędnie przyjętych.

Dotyczy to wegetacyi, której opóźnienie autor przypisuje warunkom klimatycznym. Wpływ ten istotnie ma swe znaczenie, natomiast w granicach tak minimalnych, że nie zdołałby wywołać dwutygodniowego, niekiedy nawet trzeczygodniowego (w niektórych okolicach) opóźnienia, gdyby nie składały się na to inne zresztą decydujące warunki.

W północnej partyi kompleksu gór Świętokrzyskich (pasmo główne, oraz sąsiednie okolice) miejscowa ludność wyróżnia z pośród gleb tak zwane zimne grunty. Nie tyle stosuje się to do gleby, ile do pewnych terenów w okolicach, które bez względu na swe położenie i wyniesienie wydają plony znacznie później niż w sąsiednich dzielnicach. Różnica ta waha się między 15 — 20 dniami. Siewy w tych okolicach odbywają się później, ponieważ nie pozwala na to nadmiar wilgoci w glebie (sapowaty grunt), której odpływ uwarunkowany jest podłożem. Geologiczne obserwacje wskazały na różnice, jakie zachodzą w związku z powyższem zjawiskiem. Tereny, na których różnica tak wybitnie wyraża się opóźnieniem wegetacyi, posiadają inny właściwy sobie substrat gleby. W partyach tych występują nieprzepuszczalne łupki i szarowaki (kambro-sylur, dewon). Opóźniona infiltracja chłodnych wód wiosennych zmniejsza wpływ insolacji—powstają „zimne grunty“, stanowiące niejako lokalne, naturalne termosy. Podobne tereny zajmują znaczne przestrzenie, wobec czego zjawisko opóźnionej wegetacyi nabiera ogólnego znaczenia. Taki przykład opóźnionej wegetacyi widzimy w podłużnej dolinie Świętokrzyskiej pomimo to, że z północy osłania ją lesiste pasmo Klonowskie—powstała ona w łupkach sylurskich. Pomimo znacznej nieraz grubości glin lessowych, miejscami tu występujących (Brzezinki), wpływ ten ujemny zawsze znajduje swój wyraz. Że istotną jest ta przyczyna i że wpływ jej w znacznej mierze jest decydujący, potwierdza choćby ta okoliczność, że na wyniosłościach wapiennych (Chęcińskie) zboża dojrzewają w tym samym niemal czasie jak w dzielnicach sąsiednich. Nie należy pomijać uwarunkowania samej gleby, której wpływ w tym wypadku ma duże znaczenie, a więc piaski i lżejsze grunty przyspieszają wegetację, rędziny i wogóle gleby żyzniejsze opóźniają. Istotny wpływ warunków meteorologicznych na wegetację, choć minimalny, stwierdzony zostanie dopiero przez dokładną obserwację i większy materiał danych niż te, jakie dziś posiadamy.

Również przesadnie są wyrażone różnice panujących wiatrów w górach Świętokrzyskich. Nietyle „rozszałałe wichury“ przyczyniają się do wyrwania potężnych jodeł z korzeniami, ile warunki terenu, na których rosną. Zbocza i szczyty pokrywa złom kwarcytu skąpo przykrytego glebą, traci ona wobec tego na spoistości, nie zupełnie wypełniając szczeliny między rumoszem skalnym. Wreszcie

nie zjawiska „piekielnie wyjącego wichru“, ani też „trzask łamanych konarów“ wpływają na wyobraźnię miejscowej ludności. W psychice ludu odzwierciedla się całość przyrody łącznie z jej wszystkimi przejawami, a ten lub inny charakter jej znajduje właściwy sobie piękny wyraz w licznych podaniach, pełnych poezyi i fantazyi, niestety z dniem każdym ginących bez śladu.

Jan Czarnocki.

oooooooooooo

Z Pol. Tow. Krajoznawczego.



W końcu czerwca wyruszy z Warszawy wielka wycieczka na Podole, do Morza Czarnego i do porohów dnieprowskich, pod kierunkiem prezesa Pol. Tow. Krajoznawczego Kaz. Kulwiecia. Opracowana marszruta przewiduje wyjazd z Warszawy do Kamieńca Podolskiego, skąd wycieczka wyruszy końmi przez Chocim, Żwaniec, Kitajgród, Bakotę, Uszycę i Ladawę do Mohylowa (pomnik Żółkiewskiego). Z Mohylowa rozpocznie się podróż statkiem do Akermanu — z Akermanu przejazd statkiem przez liman dniestrzański do Owidyopolu i dalej droga stepem do Odesy.

Z Odesy podróż statkiem morskim do Chersonia i Dnieprem w górę aż do porohów dnieprowskich (do st. Aleksandrowska).

Wyjazd z Warszawy (z dworca Kowelskiego) d. 23 czerwca — powrót 6 lipca.

Wycieczka ma na widoku przedewszystkiem 1) poznanie krajobrazów i przyrody południowych kresów i 2) kultury dworów podolskich.

Ceny biletów 55 rb. dla członków Towarzystwa Krajoznawczego, 60 rb. dla osób do Towarzystwa nie należących, 50 rb. dla młodzieży.

Bilety uczestnictwa nabywać można codziennie w godzinach biurowych do 10 czerwca włącznie. Ilość uczestników ograniczona.

+ Rok bieżący obiecuje być pomyślniejszym w zabiegach Oddz. Kieleckiego niż rok upłyniony. Zebrania zarządu było 3, na których rozważano głównie sprawę odczytów i zamiar uczczenia wspólnie z Tow. Muzycznym setnej rocznicy urodzin Osk. Kolberga. Postanowiono urządzić w ciągu roku 8 odczytów, po jednym w 4 pierwszych i 4 ostatnich miesiącach roku. Ogólne zebranie roczne odbyło się 8 marca wobec 25 uczestników. Do zarządu weszli dwaj nowi członkowie: radca Erazm Różycki, dyrektor kancel. Tow. Kred. Ziemi, i adwokat przysięgły Marian Grzegorzewski. Obecny więc skład zarządu jest taki: Mieczysław Koczanowicz, przewodniczący, E. Różycki i M. Grzegorzewski, zastępcy przewodniczącego, W. Kirchner skarbnik, Edm. Padechowicz sekretarz, T. Włoszek kustosz.

Odczyty rozpoczął pod dobrą gwiazdą pre-

zes Tow. i Zarządu Głównego K. Kulwiec, mówiąc 25 stycznia „O krainie błot” wobec 218 słuchaczy; odczytu J. Chelmińskiego 15 lutego „O zwiędzłych powietrza” wysłuchało 257 osób; wice-prezes Zarządu Głównego M. Wisznicki mówił 22 marca „O pięknie naszego kraju” przy 149 słuchaczach; tym razem mniejszą niż na poprzednich odczytach liczbę osób należy tłumaczyć nieobecnością uczniów męskiej szkoły handl, którzy wtedy właśnie odbywali przygotowania do spowiedzi wielkanocnej. Na trzech więc odczytach było 604 słuchaczy. Zamierzony odczyt kwietniowy nie doszedł do skutku. Powodzenie tegorocznych odczytów zawdzięczamy obok prelegentów zarządowi Resursy miejscowej, który gościnnie oddawał salę przyjemną i akustyczną. Latarni udzieliła męzka szkoła handl.

Zbiory muzealne powiększyły się o 55 przedmiotów; ważniejsze z nich są to dary następujących osób: pp. Thiedego „orzeł przedni”, postrzelony w pow. jędrzejowskim. Zubrzyckiego „Sokół wędrowny” z tegoż pow., Wł. Śląskiego „Potrzeszcz” (albinos) z pow. pińczowskiego, Józ. Dunina „Gabinet medalów polskich” hr. Edw. Raczyńskiego, dzieło już wyczerpane, Zdz. Lenartowicza dwie popielnice z Gór Pieprzowych (pod Sandomierzem), zdobione grupami równoległych, długich kresek, spotykającymi się pod kątem ostrym, p. Palysiewicz powierzył przywileje nadane przez bisk. krakowskich: dwa pergaminowe bisk. Konarskiego (1506) i Zadzika (1642), jeden papierowy (1601).

W księdze gości, zwiedzających zbiory, zapisało się 369 osób, t. j. 194 osoby dorosłe i 175 młodzieży szkolnej obu płci. Ogólną uwagę i ciekawość budzą przedmioty z zakresu archeologii przedhistorycznej: ceramika, wyroby krzemienne, drobiazgi brązowe, szczególnie zaś popielnice i naczynia zdobione. Wśród młodzieży szkolnej, zaglądnącej do kieleckiego muzeum, widać upodobanie do różnych nauk, są więc entomologowie, ptasznicy, kamieniarze, skorupiarze, numizmatycy. Są to przyjaciele zbiorów kieleckich i pomocnicy w zajęciach muzealnych.

Parę słów o gościach rolnikach. Dn. 11 stycznia przeprowadzono do muzeum 30 wieśniaków, bawiących czasowo w Kielcach na kursie rolnictwa. Na widok okazałych popielnic pytają się, „co to za garnki”. Zdziwienie było wielkie, gdy im powiedziano, że to ich znajomi, że te przedmioty często spotykają przy uprawie roli, ogrodów, przy kopaniu rowów, dolów na kartofle, studzien; że to groby, które uszanować należy, a oni je niszczą niemilosiernie. „Prawda”, odpowiadają, „bo jak człek wyorze naczynie takie, a nie znajdzie w nim pieniędzy, to rozbije stykiem i orze dalej”. W kilka dni po tej rozmowie archeologicznej otrzymaliśmy od p. Ostrowskiego, jednego z grona tych rolników, dwie urny i miskę, wyorane poprzednio w Dzierżaniu, ale całe.

Innym razem włościanie z Chodowa pod Miechowem w podobnej rozmowie wyrazili się ze zdziwieniem: „Czemu to nasi przewodnicy i kierownicy miejscowi nic nam o tem nie mówią!”

Pytania zwiedzających bywają niekiedy naiwne. Pewien gość (z miasta powiatowego), przyglądając się muszłom, zapytuje: „co to za gzygzak między

tymi ślimakami?” otrzymawszy odpowiedź, że to gwiazda morska, pyta się dalej: „a czy świeci?”. W sprawie znowu odbywanych przez nas wycieczek ten sam gość był ciekawy się dowiedzieć, kiedy się wybieramy do Rzymu, bo o tem „pisało w gazetach”.

oooooooooooo

Przebieg pogody w miesiącu kwietniu 1914 r.

Sprawozdanie Kom. Ftyzograficznej P. T. Kr.

Pogoda w ciągu kwietnia była w Królestwie łagodna, z początku pochmurna i dżdżysta, w drugiej połowie miesiąca słoneczna i sucha.

Przymrozki nocne były słabe (około — 2°) i występowały rzadko: np. w Warszawie tylko 1 raz, gdy zazwyczaj w kwietniu bywają 4 dni z przymrozkami.

Po południu zaś temperatury nieraz przekraczały 20° C. w cieniu. Średnie temperatury miesięczne wypadły o 2° za wysokie i wahają się około 8°,7 C.

Zachmurzenie było mniejsze niż zwykle i słońce świeciło częściej, dając blisko 30 godzin nadmiaru na cały miesiąc.

Natomiast deszcze były rzadkie i naogół skąpe. Przeciętnie spadło na obszarze całego kraju 30 milimetrów wody w 10 dniach, gdy ilość średnia z 14 lat jest 42 mm. w 13 dniach. Większe i nawet nieco za obfite deszcze (do 50 mm.) spadły tylko w dole Wisły i w Suwalszczyźnie. Natomiast w niektórych okolicach Świdra i Narwi opady nie dały nawet 20 mm.

Ciśnienie atmosferyczne przewyższało normę, ruchliwość zaś powietrza była mniejsza niż zwykła (3,3 metr. sek. wobec średniej wartości 4,7 m/s), co nie było bez znaczenia wobec rozpoczętego kwitnienia drzew owocowych.

Liście na krzewach ukazały się około środka miesiąca.

Na Litwie i Rusi było tak samo za sucho i za ciepło.

Do 9 kwietnia Królestwo znajdowało się w obszarze obniżonego ciśnienia atmosferycznego między dwiema wyżkami, leżącymi nad Europą południowo-zachodnią i nad Rosją północną; to też wiry atmosferyczne z Atlantyku często przechodziły w blizkiem naszym sąsiedztwie. Później wyżka zachodnia przesunęła się ku środkowi Europy, połączyła się z rosyjską, i odtąd zapanowała u nas piękna, choć nocami nieco chłodna pogoda.

Niżej są zamieszczone niektóre dane ze stacyi P. T. Kr.

a) Temperatura:

Jędrzejów: Temp. średnia mies. 8°,8 Temp. maks. + 23°,7 dnia 23-go. Temp. minim. — 2°,2 dnia 6-go.

Dąbrowa Górnicza: Temp. śr. mies. 9°,3. Temp. maks. + 23°,7 dnia 30-go. Temp. minim. — 2°,0 dnia -g o.

b) Opady:

Wysokość w mm. Liczba dni

Ostrołęka	21	11
Suchedniów (p. kielecki)	26	10
Jędrzejów	22	8
Miechów	29	15
Włoszczowa	34	8
Olkusz	29	7
Dąbrowa Górnicza	27	9
Wysokie (p. krasnostawski)	28	7

c) Trwanie usłonecznienia: Jędrzejów 224 godz.

oooooooooooo

Nowe książki.

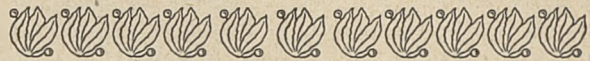
Informator dla gości na Pomorzu Kaszubskim.
Warszawa. Skład główny w „Księgarni Polskiej”
str. 40. Cena. 10 kop.

W trzecim już wydaniu ukazuje się wydawany corocznie „Informator“, będący nie tylko pożytecznym ale niezbędnym vade mecum polskiego letnika czy podróżnika nad Bałtykiem. Niedosć jest bowiem z uciechą dla siebie używać słodkich wczasów na pięknym wybrzeżu, dobrze jest też pamiętać, że nad tem polskim morzem wre ciągle cicha, ale zjadła, śmiertelna walka polskiego żywiołu o życie, że można być w najgorszym razie — skoro się już swoje nerwy tak ceną wysoko — jej widzieć, ale nie wolno przechylać szali na obcą stronę, ignorując to wszystko, co jest na Pomorzu polskim, co ma prawo wymagać poparcia od swoich. Człowiekowi dobrej woli, ale nie orientującemu się w obcych dla siebie stosunkach dość szybko, ułatwi „Informator“ zadanie od pierwszej chwili przybycia: począwszy od polskiego tragarza na stacji zaprowadzi go do polskiego pensjonatu, banku, lekarza, rzemieślnika, sklepu i t. d. Tego, kto będzie chciał udać się w głąb kraju, nauczy gdzie i do kogo

w każdej wsi zwracać się trzeba, chcąc uniknąć popierania niemieckiego czy ziemczonego sklepu, gospody i przewoźnika. Ktoby chciał głębiej wniknąć w życie i walki polskiego społeczeństwa nad Bałtykiem, znajdzie w „Informatorze“ spis polskich towarzystw, z których działalnością może się zaznajomić — i których skromne środki może zasilić, powiedzmy nawiasem — poza tem zaś znajdzie krótki spis najważniejszych wydawnictw ostatniej doby, omawiających sprawę kaszubską. Dla ludzi, wybierających się dopiero na Kaszuby, pożyteczny będzie opis kilku wsi-letnisk nadmorskich ze szczegółowym podaniem warunków dojazdu i życia. Ktoby wreszcie wątpił, czy nad polskim morzem Polakiem być można i trzeba, niech przeczyta te kilka gorących a jasno ujętych słów wstępu, które wątpliwości jego rozstrzygną.

Sądźmy, że nie powinno być na naszym Pomorzu ani jednego gościa polskiego, któryby tej pożytecznej książeczki nie uważał za cennego doradcę.

oooooooooooo



MEBLE W RÓŻNYCH STYLACH SOLIDNEJ
ROBOTY

POLECA

P. GRODECKI

ulica Marszałkowska 68, telefonu № 112-94,
od 8 maja na Żórawiej 33.

Pp. Członkom Tow. Krajoznawczego ustępstwo.



TREŚĆ: *Antoni Sujkowski* — Rocznik Statystyczny Królestwa Polskiego. Rok 1913 (dok.). *Eugeniusz Romer* — Biblioteka Publiczna w Nowym Yorku (dok.). *Nora Walicka* — Połaga (z 3 ryc.). *Al. Janowski* — Imigracja polska w Stanach Zjednoczonych (c. d.). — Z naszej turystyki. *Tadeusz Radliński* — „Gdzie wschód się kończy...” (c. d.). — Listy do Redakcyi. — Z Pol. Tow. Krajoznawczego — Nowe książki. — Poza tekstem: Dom podcieniowy w Wąwolnicy, pow. puławski. — Wkładka: Spichrz modrzewiowy w Górnicy (własność St. i T. Wilkońskich).

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwieć.